



Komuna dla klasy średniej

O Thundercliffe Grange, pierwszym nieintencjonalnym co-housingu w Wielkiej Brytanii, opowiadają:

Jeremy, (70+), inicjator i rezydent

Polly (42 lata), rezydentka

POCZĄTKI

Jeremy: Jest połowa lat 80., siedzę w naszym wspólnym salonie, kiedy zagaduje mnie sąsiadka: „Słyszałeś o czymś takim jak co-housing? Podobno jesteście pionierską grupą w Anglii”. Nie miałem pojęcia, o czym mówi. „Ale jaja” odparłem. „Jak to zrobiliśmy?”.

Sąsiadka przeczytała w gazecie, że co-housing to skandynawski model, który kiełkuje w Wielkiej Brytanii. Okazało się, że jego podstawowa struktura i założenia pokrywały się z tym, jak żyliśmy od kilku lat.

Springhill w Stroud, czyli pierwszy intencjonalny co-housing w Wielkiej Brytanii, powstał w 2003 roku. My wprowadziliśmy się w 1980.



MOTYWACJA

Jeremy: Byliśmy grupą przyjaciół, która każdą chwilę spędzała razem. Wszyscy przyjechaliśmy do Rothertham w latach 70., żeby pracować w sektorze publicznym, w kulturze. Po pracy chodziliśmy do teatru, do pubu, na spacer. Uznaliśmy, że skoro tyle czerpiemy ze swojego towarzystwa, to może zrobimy wspólnie coś, na co nie mogliśmy sobie pozwolić w pojedynkę. Na przykład – kupimy dom do renowacji z dużym terenem. Szukaliśmy wiktoriańskiego budynku, który chcieliśmy podzielić na pięć mieszkań – dla kilku par i singli. Ale przypadek zmienił nasze plany. Pewnego dnia koleżanka poprosiła mnie, żebym podwiózł ją do szpitala dziecięcego, położonego kawałek za miastem. Jechaliśmy krętą uliczką pod strome wzgórze i nagle zobaczyłem XVIII-wieczny budynek otoczony lasem, z widokiem na dolinę. Powiedziałem tylko: „Wow”. I po chwili znów: „Wow!”.

Miejsce było na sprzedaż. Okazało się większe niż potrzebowaliśmy, więc zaangażowaliśmy dodatkowe osoby i złożyliśmy ofertę w przetargu. Cisza. W lokalnej gazecie pojawiały się wzmianki, że będzie z tego hotel, potem prywatna szkoła, ale miesiącami nic się tam nie działo.

Wybraliśmy się do gminy, żeby zapytać, dlaczego nie odpowiedzieli na naszą ofertę, skoro inne nie wypaliły. A oni na to: „Przepraszamy, nie sądziliśmy, że była na serio”. Wzięli nasz pomysł wspólnego mieszkania za wygłupy.



ARCHITEKTURA

Jeremy: Budynek ma ładną fasadę, ale prawdziwą robotę robią wnętrza. Ogromne, jasne, diabelsko proporcjonalne. Mój salon ma 7 na 7 metrów szerokości i 4 metry wysokości, a to jeden z mniejszych. Pokoje są jakby zaprojektowane do śpiewania.

Ale zanim zaczęliśmy cmokać nad takimi sprawami jak akustyka czy proporcje, musieliśmy najpierw skuć kilkadziesiąt toalet. Przed nami był tu szpital dla dzieci z niepełnosprawnościami intelektualnymi, a wcześniej szpital psychiatryczny. Co drugie wnętrze śmierdziało moczem. Przez pierwsze miesiące głównie rozwalaliśmy ściany. Demolowaliśmy cele wyściełane poduszkami, gdzie zamykano pacjentów, których personel nie potrafił okiełznać. I cele karne. Zdrapywaliśmy ciężką, olejną farbę charakterystyczną dla szpitali czy szkół. Zdjęliśmy stare dachówki, założyliśmy nowe. Nie mieliśmy pieniędzy na ekipę, więc, poza elektryką i hydrauliką, cały remont zrobiliśmy sami.

Zaczęliśmy w maju 1980 roku, w październiku przenieśliśmy się do pierwszych dwóch mieszkań. Wprowadziliśmy się wszyscy, a było nas kilkanaścioro. Większość z nas była po trzydziestce, niektórzy mieli dzieci. Przez kolejne dwa lata mieszkaliśmy razem i kontynuowaliśmy remont. Nie wszystkie pomieszczenia udało się rozsądnie podzielić i niektórzy wylądowali z potężnymi, ale jednopokojowymi mieszkaniami. Potem zabraliśmy się za przestrzeń komunalną na parterze: salon, kuchnię, jadalnię, pracownię.



Wiem, że grupy co-housingowe przechodzą przez szkolenia psychologiczne i spotykają się miesiącami, żeby wypracować swoje reguły. Dla nas te cztery lata, kiedy tyraliśmy ramię w ramię i siedzieliśmy sobie w kieszeniach, to było najlepsze ćwiczenie z budowania zespołu.

WSPÓLNOTA

Jeremy: Przez długi czas byliśmy przyzwyczajeni do pracy non stop, bo przecież do remontu dochodziła praca zarobkowa. Potem mieliśmy problem z postawieniem sobie granic. Remont wpędził nas w pracoholizm.

Polly: Myślę, że etos pracy może odstraszać. Nasza nowa sąsiadka mówiła, że kiedy chwaliła się, że będzie z nami mieszkać, słyszała: „Jesteś bardzo dzielna”. Ludzie stronią od dodatkowych obowiązków. Poza tym dla niewprawionego oka możemy wyglądać na jakąś sektę. Goście wypytują nas często, czy robimy wszystko razem, czy jesteśmy weganami. Co-housing otacza aura tajemniczości.

Jeremy: Tymczasem to tylko forma organizacji. Bardzo liberalna, bo składają się na nią wyłącznie przestrzeń i ludzie. To do nas należy decyzja, czym ją wypełnimy. Jeśli chcesz hodować maliny, możesz tu hodować maliny. Interesujesz się historią? Zakładaj grupę historyczną. Masz tu większe zasoby, niż gdybyś chciała robić to sama.



Polly: Dlatego wprowadziliśmy się z mężem. Sami nigdy nie porwalibyśmy się na projekt o takiej skali, a tutaj mamy siatkę bezpieczeństwa złożoną z innych ludzi. Panuje tu przeświadczenie, że im więcej włożymy, tym więcej wyciągniemy. Thundercliffe to projekt, który zawsze będzie w toku. Nie tylko dlatego, że ciągle coś się psuje. Raczej – bo zawsze jest tu miejsce na nowy pomysł, nowe przedsięwzięcie. Ja np. zaangażowałam się w ratowanie zwierząt razem z Jeremym.

Do tego dochodzi aspekt wspólnotowy. Na początku czułam się, jakbym cofnęła się w czasie. Żyjemy trochę jak w latach 80., kiedy znało się wszystkich sąsiadów na ulicy. Można było pożyczyć kawę czy cukier.

Jeremy: A ja nie do każdego zapukałbym po cukier. Nie dlatego, że się nie lubimy, po prostu wiem, że są ludzie, od których nie mogę oczekiwać pomocy. Przez lata uczysz się takich rzeczy. Ostatnio wprowadził się sąsiad bez samochodu. Powiedziałem mu, do kogo może dzwonić z prośbą o podwózkę ze stacji, a komu nie ma sensu zawracać głowy.

WYZWANIA

Jeremy: Największym zaskoczeniem było dla mnie to, że z biegiem czasu nasze kontakty stawały się coraz bardziej formalne. Wprowadziliśmy się tu jako grupa najlepszych przyjaciół, dziś jesteśmy dobrze funkcjonującymi sąsiadami.



Przez kilka lat, kiedy intensywnie remontowaliśmy budynek, co niedzielę jedliśmy razem lunch. Ktoś przygotowywał zupę, kanapki, kawę i to była okazja, żeby przegadać wspólne sprawy, rozwiązać problemy. Od kiedy skończyliśmy remont, to się rozluźniło. Przestaliśmy razem jeść. I teraz, kiedy pojawia się jakiś problem, to sprawa od razu robi się oficjalna, bo trzeba zwołać zebranie mieszkańców. Przez lata próbowałem przywrócić wspólne posiłki, nie udało się.

Spotykamy się oczywiście w mniejszych grupach, na piwo w ogrodzie czy partyjkę bilarda, ale rzadko jesteśmy wszyscy razem.

Polly: Na święta. Poza tym na letnie garden party i jesienne ognisko. To tyle.

Jeremy: Jeśli chcesz, możesz tu codziennie być z ludźmi, ale budynki i teren są tak duże, że możesz też nikogo nie spotykać. Jakiś czas temu zaprosiłem na grilla sąsiadów z córką. Mieliśmy się spotkać w ogrodzie. Dziewczynka powiedziała: „Super, nigdy nie byłam na południe od domu”. Nie chodziła po wspólnocie. To nas różni od intencjonalnych co-housingów, które są tak zaprojektowane, żeby ludzie byli blisko, wpadali na siebie.

WŁASNOŚĆ

Jeremy: Zanim kupiliśmy to miejsce, założyliśmy organizację non profit. Każdy rezydent Thundercliffe Grange jest jednocześnie dyrektorem tej



organizacji, udziałowcem i dzierżawcą swojego mieszkania. Dzierżawy są na 99 lat.

Od początku nie interesował nas wynajem. Mieszkanie tutaj przez lata wymagało dużo pracy, więc baliśmy się, że ktoś, kto wprowadzi się na chwilę, nie będzie w stanie wystarczająco się zaangażować.

Nasze mieszkania są nietypowe, niełatwo je sprzedać. Jeszcze nigdy nie było takiej sytuacji, żebyśmy wybierali między dwoma kupcami. To niestety oznacza, że rynek reguluje nasz skład. Wprowadzają się tu ludzie, których stać na kupno mieszkania – wykształceni, zamożni, głównie biali.

Polly: Moja mama nazywa nas komuną dla klasy średniej. Jest w tym ziarno prawdy.

ORGANIZACJA ŻYCIA

Jeremy: Nasz regulamin zawiera kilka podstawowych zasad, typu: nie wolno grać głośnej muzyki po północy. Ale to tyle. Spotykamy się raz na jakiś czas, przegadujemy sprawy, głosujemy. Musiałabyś wynająć swoje mieszkanie na rzeźnię, żeby stąd wylecieć.

STARZENIE SIĘ

Polly: Mam 42 lata i jestem tu najmłodsza. Większość mieszkańców zakładała to miejsce, dziś są po sześćdziesiątce.



Jeremy: Przez lata mieliśmy tyle do zrobienia, że zapomnieliśmy się zestarzeć. W głowach wciąż mamy po dwadzieścia, trzydzieści lat. Problem w tym, że ciało coraz mniej chce się biegać po schodach i ogarniać potężne mieszkanie. Nie przystosowaliśmy budynku do potrzeb starszych osób, bo w wieku 37 lat nie myślisz o tym, że kiedyś będziesz miała 77. Poza tym chyba większość z nas sądziła, że kiedyś się wyprowadzi, bo te mieszkania są za duże na starość. Nie przewidzieliśmy, jak bardzo nam się tu spodoba. Ja chciałbym zostać, dlatego planuję zamienić swoje mieszkanie na jednopokojowe na parterze.

Polly: Thundercliffe jest położone kilka kilometrów od najbliższego sklepu – to kolejna bariera dla starszych. Do tego teren dookoła budynku jest nierówny, pełen ustępów i schodków. Mimo to kilkoro z naszych sąsiadów umierało tutaj. Towarzyszyliśmy im – wpadaliśmy na herbatę, pomagaliśmy, jak mogliśmy – ale większość opieki wzięły na siebie ich rodziny. Jedna z sąsiadek tak bardzo kochała to miejsce, że została pochowana w naszym ogrodzie.

WSPÓLNOTA

Jeremy: Dla większości co-housingów architektura ma drugorzędne znaczenie, najważniejsza jest wspólnota. To tylko moje zdanie, niekoniecznie wszystkich mieszkańców, ale sądzę, że u nas jest na odwrót.



Łączy nas przede wszystkim miłość do tego miejsca. Jesteśmy społecznością skupioną wokół niego.

Polly: Dla mnie to powód do dumy, że w pewnym sensie je uratowaliśmy.

Jeremy: To prawda. Zanim się wprowadziliśmy, gminie wyczerpały się pomysły na to, co z tym budynkiem zrobić. Przedłużyliśmy mu życie o kilkadziesiąt lat. A żyje od wieków. Dolina, nad którą leży Thundercliffe, była jedną z historycznych granic Anglii. Granicą między północą i południem, między Anglami i Saksonami, granicą cesarstwa Rzymskiego. Od epoki kamienia to był ważny szlak pieszy. Czyli historia tego miejsca to z jednej strony ciągłość, a z drugiej – nieustająca zmiana. Kiedyś były tu szpitale, wcześniej mieszkała arystokracja, jeszcze wcześniej mnisi. Gdy o tym myślę, nabieram pokory. Jesteśmy tylko kolejnym etapem.

Ada Petriczko